Tylko miłość potrafi zatrzymać czas

(Marcel Proust)

Przychodzi pora, gdy coś zmienia się w duszy człowieka, niejasno i niewyraźnie wyłania się znikąd, niby czas refleksji, niby zadumy, nastraja melancholijnie szumem wiatru za oknami i kroplami deszczu monotonnie usypiającymi swym nasennym rytmem, usposabiając podatnie na wpływ natury, która zdaje się kłaść niechybnie do snu i roztaczać nad światem swe milczące wyciszenie i spokój. Świat na czas jakiś zwalnia, by zregenerować siły, odnaleźć się i złapać oddech, zastygnąć w niemym oczekiwaniu na wiosenny wybuch odrodzonych energii, które teraz udawały się na zasłużony odpoczynek.

Ten czas to listopad.

Czas, gdy cichnie gwar życia, jego radosne i beztroskie letnie przejawy, zabawa i śmiech, słoneczne pocałunki w świetle księżyca, zapach spalonej słońcem skóry, ciepły czerwcowy deszcz, kiedy przemoknięci do suchej nitki, ale szczęśliwi, spijamy z ust jego krople, wieczorny wiatr zasypujący niebo milionem cudownych gwiazd…
Dotyk brązowych, opalonych rąk, które są dla nas wszystkim.
W długie, jesienne wieczory wracają obrazy dawno już zapomniane, zatarte i rozmyte biegiem lat, niby echo dawnych dni, odległe i ledwie słyszalne, a jednak gdzieś wciąż kołaczące się w zakamarkach duszy.
Gdzieś przyczajone i uśpione, teraz obudzone, znalazłszy właściwą atmosferę w wyciszeniu natury, znów nabierają wyrazistości kształtów i konturów, przyoblekając się w ciało przewijają się przed oczyma wyobraźni niczym barwny kalejdoskop.
W listopadzie wracają wspomnienia.
Te najcenniejsze, będące częścią nas, na zawsze wrosłe w serca, stające się przez lata nami. Wtedy cofając się w przeszłość widzimy je jak wyspy szczęśliwe na nieruchomym oceanie codzienności.
Bo to szczera prawda, że w życiu najpiękniejsze są tylko chwile, szkoda, że tak niewiele, lecz pomimo to przechowamy je na wieki w naszych sercach, czyniąc z nich wieczność.

Bo kiedyś kochałem.
Raz jeden…
Naprawdę…

To już tyle lat, lecz dla mnie mała, krótka chwila, jakbym zaledwie wczoraj wrócił radosny do domu, pełen tego uczucia, tej siły, którą wszyscy tak dobrze znamy. Pewni, że czas to nasz przyjaciel, sprzyjający i szczery, i nie pozwoli nam upaść. Że otworzono przed nami bramy raju, na zawsze, bezwarunkowo, i nigdy nie zostaną one zatrzaśnięte tuż przed naszym nosem.
I dano także to, co jest sensem wszelkiego bytowania – miłość, na wieki, bezdyskusyjnie, nieodwołalnie.
Lecz jak bardzo można się pomylić! Jak boleśnie ujrzeć prawdę, której nigdy nie chciałoby się poznać. Poczuć nagle, że ten podstępny krupier zwany losem, grając z nami w ruletkę, rzucał złe kule w złe przegródki.

Skąd mogłem wiedzieć, że stracę ją gdzieś, po drodze…

Tak głupio, tak bezmyślnie.
Byliśmy bardzo młodzi, może za młodzi, by kochać.
Wielu przeszło tą drogą, lecz nam nie dane było ujrzeć jej końca.
A nic nie zapowiadało tak tragicznego finału – szliśmy ufni, jak we mgle, nie wiedząc, że za chwilę…
To były najpiękniejsze, licealne czasy, kiedy panuje beztroska i dopiero co odkryta radość nowego życia, składająca się z nieznanych dotąd przyjemności. Przebłysk, którego nigdy już się nie zapomina i który nigdy już się nie powtarza – nagle dorośli, choć przed chwilą jeszcze dzieci.

Dlaczego splotły się nasze losy?
Dlaczego narodziła się miłość, której nie dane było przetrwać długo?
Czemu pierwsza miłość jest czasem tą jedyną, wieczną i nigdy „*nierdzewiejącą*"?
Której niemożliwością jest zapomnieć i do której porównuje się kolejne.
Czemu to właśnie ją mamy w pamięci po kres naszych dni?
Odpowiedź jest prosta – to magia „pierwszego razu", niebiańskiego olśnienia, czyniąca życie snem na jawie, odkryciem nowej, obcej krainy, piętnem na wieki, raz dobrym, raz złym, determinująca i dająca punkt odniesienia – „prawo pierwszych połączeń" – jak mawiają psychologowie, którym kierować się będziemy bezwiednie i podświadomie przez resztę naszego życia.

Bo wiem, że kochałem…
Tylko tę jedną, jedyną.
Wiem też, co ona do mnie czuła.
Tego nie wypowiedzą słowa…
Nie wyrazi litera pisana.
Nie odda nic.

I pamiętam spojrzenie jej niebieskich oczu tamtej niedzieli, tamtego lata.
Kiedy staliśmy w deszczu patrząc na siebie, bliscy, objęci, tuląc się do siebie i zapominając nagle o absurdalnym świecie gdzieś obok, ja wtedy zrozumiałem, jak rozumie się pewne rzeczy raz jeden w całym, długim życiu, że gdy mi jej zabraknie, skończy się moje życie, bo tylko ona dawała mi powietrze, którym oddychałem i szczęście, którym biło moje serce.
I gdy kiedyś po śmierci zapytają mnie, co pamiętam z życia, to powiem, że pamiętam ją.

„Bo miłość nigdy nie ustaje…"

To nie są puste słowa.
To najświętsza z prawd.

Lecz nadszedł dzień, który nas rozdzielił na zawsze.
Ustało gwałtownie to, co nas połączyło tak żarliwie.

Któregoś dnia, gdy była u mnie, a mieszkaliśmy dość blisko siebie, doszło między nami do drobnej sprzeczki, zwykłej różnicy zdań, zakończonej głuchym milczeniem, oznaczającym coś na kształt wzajemnego obrażenia się, w wyniku czego wzburzona dziewczyna opuściła moje mieszkanie i pobiegła do domu. Dzielił nas tylko mały park, ciągnący się kilkaset metrów, romantyczne miejsce naszych spotkań.
Gdybym wtedy wiedział.

Gdybym za nią pobiegł.
Jakieś choćby nikłe, mgliste przeczucie…

N i e s t e t y.

Nie do opisania było moje przerażenie i rozpacz, gdy następnego dnia dowiedziałem się, że wypadła z okna…
Okrutny przypadek czy…
Tajemnicą miało pozostać jak i dlaczego do tego doszło.
Może usiadła na parapecie otworzywszy okno, było przecież lato, lub stojąc robiła coś przy nim i wówczas nagle zasłabła tracąc przytomność?
Może nieopatrznie wyjrzała i...
Tego niestety nigdy nie ustalono.
Lecz kiedy opowiedziałem o naszej kłótni, dostrzeżono w całej tej tragedii element wzburzenia i zdenerwowania, niestety z mojego powodu, i zaczęto spoglądać na mnie, jak na „winnego" całego, nieszczęśliwego zajścia, który swym nagannym zachowaniem przyczynił się do tej niewytłumaczalnej śmierci.
Stałem, słuchałem i patrzyłem nie dowierzając, nie dopuszczając jeszcze do świadomości zbyt okrutnej prawdy – że jej już nie ma, że to wydarzyło się naprawdę i że nigdy jej już nie zobaczę.
Nie obchodziło mnie to, co ludzie mówili i myśleli, ja widziałem nadal tylko ją, jakbyśmy dopiero co trzymali się za ręce i szli naszym zielonym parkiem.
Ale to minęło, odeszło za zawsze…

Co dalej?
Jak mam z tym żyć?

Nikt wtedy nie pomyślał nawet, co czułem, że nie było już dla mnie miejsca na świecie, w którym jej nie było, nikt nie pochylił się nad moim losem.
Całym sobą odrzucałem myśl o jej śmierci, jak jakiś tragiczny, chory żart, jak absurdalne urojenie czy iluzję wyobraźni, z której w końcu muszę się ocknąć i wrócić do rzeczywistości.
Lecz niestety to była moja rzeczywistość, moja nowa rzeczywistość bez niej!
Piekło smutku i rozpaczy bez dna.
Byłem wtedy przecież tylko młodym licealistą, który dopiero co próbował nieporadnie wkraczać w dorosłe życie, dostając na samym jego początku druzgocący, brzemienny w skutki cios, który miał zmienić całe moje przyszłe losy i wypalić swe piętno na mojej osobie na dalsze lata, zmieniając nieodwracalnie mój charakter i osobowość.

Stałem się nad wyraz poważny i wyniosły, małomówny, wręcz milczący, wiecznie zapatrzony gdzieś w dal, nieobecny duchem, niezrozumiały. Uśmiech na zawsze zniknął z mej twarzy, a zastąpił go nieruchomy, kamienny wyraz, niewyrażający zupełnie nic, jeno pustkę.
Narastało we mnie zobojętnienie i apatia, przepadła bezpowrotnie jakakolwiek radość życia, tak znamienna dla ludzi młodych, odeszła w niebyt spontaniczność oraz beztroska lekkość istnienia. Tak radosne, jak i smutne wydarzenia, spływały po mnie nie pozostawiając śladów, zanikła niespożyta energia przynależna memu wiekowi, stawałem się powoli zobojętniały na los najbliższych, jak i stopniowo na swój własny…

Moje wyniki w nauce, jeśli można było w ogóle o czymś takim mówić, z tygodnia na tydzień stawały się coraz gorsze, mimo że godzinami siedziałem nad książką, patrząc bezmyślnie na setki liter, zlewających

mi się w jakiś koszmarny bełkot.
W nieskończoność czytałem jedną i tę samą stronę, wcale jej nie rozumiejąc.
Siedziałem i rysowałem w zeszycie jakieś bezładne znaki, cyfry, twarze, szkice bez sensu i logiki, nie czując wcale czasu, który niewidzialny, gdzieś obok bezgłośnie upływał…

Zacząłem stronić od towarzystwa, ograniczając kontakty z ludźmi tylko do budynku szkolnego, gdzie również zamknięty w sobie nie odzywałem się, bo nie było we mnie takiej potrzeby, nie brałem udziału w rozmowach, gdyż ludzie męczyli mnie i drażnili, napawali wstrętem, jakiego dotąd nie znałem.
Zapytany, udzielałem zdawkowych odpowiedzi lub zbywałam pytania milczeniem, chcąc jak najszybciej znaleźć się sam ze sobą, odizolować się od obcego mi i niemiłego otoczenia, rozpłynąć się w powietrzu.
Wesołe twarze drażniły mnie swą niezrozumiałością, marzyłem wciąż, by wokół mnie znaleźli się ludzie smutni – tam poczułbym się znacznie lepiej.
Od rzeczywistości oddzielała mnie czarna ściana, przez którą do mojej pustki nie docierały promienie słońca ani ludzka radość, co sprawiało, iż mój kontakt z otaczającym mnie światem był na ogół przykry i zimny.
Nie potrafiłem nawet nienawidzić, nie czułem w sobie życia tylko obojętność i narastające otępienie uczuciowe, brak jakichkolwiek ambicji, „dużo rozmyślałem", przestało mi na czymkolwiek zależeć.
Stałem się głuchy na prośby i groźby, byłem leniwy i niesłowny, bez serca, bez rozsądku, bez wstydu.
Czułem dokonującą się we mnie przemianę, lecz zbyt głęboko się nią nie przejmowałem, nie miałem też poczucia winy, wszystko starając się obrócić na własną korzyść.

Marzyłem o tym, by zasnąć i więcej się nie obudzić.

Wszystko powoli wygasało we mnie i coraz mniej już było mnie.
I stanąłem któregoś dnia na parapecie okna, tak jak niegdyś ona, lecz zabrakło mi odwagi. Spojrzałem na parkowe kasztany, za którymi prześwitywał zarys jej domu, na alejki, którymi spacerowali ludzie, na błękitne niebo. Już zbliżałem się niebezpiecznie do chwili, gdy poczuję moimi stopami jedynie powietrze, już miałem puścić się ściany i skoczyć, lecz nie śmierć mnie przeraziła…
A co jeśli TAM będzie mi jeszcze gorzej, jeśli nie uwolnię się od mych cierpień i zabiorę je ze sobą, nadal żyjąc beznadziejnością, nędznie wegetując, bez szansy na światło.
Jeśli TAM nie ma nic poza otchłanią rozpaczy i trwaniem w niej nieskończenie?
Może dane mi będzie przeżywać moment mej śmierci przez resztę wieczności i nastanie wtedy bezstan uwięzienia w tym jednym, fatalnym momencie, który stanie się czasem?
Co czekało mnie TAM, nie wiedziałem, bowiem żaden człowiek jeszcze stamtąd nie wrócił.
Poczułem grozę tej chwili i jej potencjalnych konsekwencji, iż może za sprawą swej szalonej decyzji wykonam tragiczny skok w samą czeluść piekieł, gdzie przepełniony bólem usłyszę jedynie zgrzytanie zębów…
Jakiś marny ochłap życia tlił się jeszcze we mnie, jakiś nędzny instynkt przetrwania.
Cofnęła się ręka pełna desperacji…

I wróciłem.
Najpierw na podłogę, później do życia.

Stojąc tam, na parapecie okna do nicości zrozumiałem, że decydując się na ten ostateczny krok być może sam wydawałem na siebie wyrok zastygnięcia w przeklętej próżni potępienia niemożnością wyzwolenia się z otchłani własnego cierpienia. Byłoby to niczym innym jak utknięciem w czasie wiecznym i niezmierzonym, danym mi bezlitośnie po wieki wieków, bym przeżywał własne katusze i uwięzienie w nich jako

karę za świadomy wybór czegoś, po co człowiek nigdy nie powinien wyciągać ręki, nieświadom tego, na co się porywa.
Czyż miałem jakąkolwiek pewność, że to ratunek i wyzwolenie?
A może to ciągle to samo piekło, przeniesione w inny wymiar?
I ta myśl przerażała, że nawet TAM nie uwolnię się od tego, że zabiorę to gdziekolwiek przyjdzie mi pójść…
Bo to było we mnie.
Przez otwarte okno patrzyłem na jej dom, zasłonięty gęstwiną parkowych kasztanów, widząc oczyma wyobraźni czas, jaki razem przeżyliśmy i jeszcze nie rozumiejąc, że tak niewiele dzieli życie od śmierci – cienka, pajęcza nić – tak łatwa do zerwania, czasem wystarcza mała, krótka chwila desperacji, niekiedy sekundy, gdy przed oczami czarne pustkowie rozpaczy…

Nasz park…
Wciąż zielony i piękny…
Ile widział już rozstań, łez i samotności?
Czy ktoś kiedyś kochał w nim tak, jak ja kochałem?
Czy stracił, jak ja straciłem?
Czy patrzył w nicość, jak mnie przyszło patrzeć?
Niezmienny i spokojny – jakże ci wtedy zazdrościłem.

I potem, gdy znów spojrzałem życiu w twarz, chodziłem godzinami zielonymi alejkami w nadziei, że może nagle, gdzieś, kiedyś, niby przypadkiem, jakoś tak po drodze, znów ją spotkam, jak tamtej niedzieli, tamtego lata.
Może znów spadnie deszcz i przytulimy się do siebie, spijając krople ciepłe i czułe ze swych ust, zakochani, w siebie zapatrzeni. I nigdy się już nie rozstaniemy, nawet na chwilę, nierozłączni, ostrożni, by nie spłoszyć czaru tej magicznej, niepowtarzalnej minuty…
I to, co stało się, okaże się jakimś makabrycznym, niedorzecznym snem – koszmarem, z którego budzimy się szczęśliwi, że to tylko senny zwid, mara zmyślona przez przewrotny mózg, mroczna ułuda, i znów usiądziemy radośnie na ławce w naszym parku, patrząc jak w oddali w słońcu połyskuje setkami cudownych refleksów rzeka.

I cisza powie wszystko…
I dotyk jej ust…
Na zawsze.

Zrozumiałem, że czas potrafi stanąć wtedy, kiedy dotykamy gwiazd i ziemia drży tak jak my, całym swoim jestestwem, bo kochać to żyć, a żyć trzeba, by kochać – tylko wówczas nasze istnienie ma sens, my mamy sens.
W jej oczach odnajdę siebie…
Uwielbienie i oddanie bez granic…
Nieśmiertelność tego uczucia.
W jej szepcie pewność i spokój.
I mając ją przy sobie dowiem się, że nic mi nie grozi, ani teraz, ani nigdy.

Chodziłem zielonymi alejkami naszego parku.

„Miłość cierpliwą jest…”

I choć mijały miesiące i lata, kolejne niedziele bez niej, ja błądząc wśród kasztanów nadal czekałem i wierzyłem, że to nie prawda, że ona gdzieś jest, gdzieś istnieje, lecz ja chwilowo nie mogę jej zobaczyć, ale to przeminie i pewnego dnia, idąc wśród szumu drzew, zobaczę ją, jak biegnie do mnie i macha mi z daleka.

Moje życie nigdy nie wróciło już do radosnej beztroski lat młodzieńczych.

Pomimo tego, iż znalazłem w sobie jakiś marny przebłysk woli i udało mi się nawet ukończyć uniwersytet, nigdy nie zaznałem już tego, co przez chwilę czułem przy niej, i choć czas upływał nieubłaganie, ja nadal ją kochałem i wciąż widziałem przed sobą jej uroczą, zabawną twarz, jej uśmiech, kolor włosów, brązowe, opalone dłonie – jej postać, wyraźnie i ostro.
Pamiętałem słowa, które mówiła często do mnie, żarty i powiedzonka, wyznania miłosne i obietnice dawane na zawsze, z cudownym błyskiem w oku, błyskiem jedynym.
Lubiłem je sobie przypominać w trakcie spacerów po parku, dokładnie mając w pamięci miejsca, w których je mówiła: samotna ławka stojąca w cieniu akacji kojarzyła mi się z pewnym, czułym zapewnieniem z jej strony, to znów na innej usłyszałem fantastyczny żart, gdzieś dalej rozbrzmiewała wciąż rozmowa na temat wspólnych wakacji.

Bo ja kochałem…
I wtedy, i później…

Poza nią nikt nigdy się już dla mnie nie liczył i pomimo upływu lat, które nie wiem kiedy minęły jakoś tak od niechcenia i niezauważalnie, w moim sercu było miejsce tylko dla niej i ona żyła w nim, bezgłośnie i cicho, tylko moja.
Nosiłem ją w sobie wszędzie, gdzie się udawałem, była we mnie w każdej minucie dnia i nocy, wyczuwalna i obecna, choć nieosiągalna dla oka, istniejąca moim istnieniem, sprawiając, że choć nie wyszła mi naprzeciw na parkowej alejce, nie byłem sam.
Dziś mogliśmy dotknąć się swymi duszami, tworząc naszą miłość na nowo, nieskończenie, nie pamiętając przeszłości, jej czarnej, martwej barwy, broniąc się również przed szarzyzną rzeczywistości, brukającej prawdziwą, idealną miłość i niepozwalającej jej rozkwitnąć.
Bo świat wokół mnie pędził dalej i dalej, nie bacząc na subtelności i uczucia, odarty z piękna i nadziei, nieobiecujący nic szczególnego poza fałszem, bezwzględnością i brudem, od dawna niepamiętający już o głębi kochania i istocie tego, co zwiemy życiem, a mianowicie o miłości szczerej, wiernej i nigdy nieustającej. Coś, gdzieś nieoczekiwanie po drodze ją zastąpiło, coś niskiego i marnego, jakaś licha namiastka, jakieś karykaturalnie wynaturzone, zniekształcone groteskowo odbicie w krzywym zwierciadle podłości życia, które w miarę upływu lat pozbawiło ją najpiękniejszych cech i tej romantycznej lekkości, która sprawiała, że kiedyś ludzie kochali inaczej, mocniej i dojrzalej, choć tak jak my, mogli mieć zaledwie kilkanaście lat…

Obserwowałem kątem oka, krążąc samotnie po mym parku pary, które niczym nie przypominały nas, jakieś prymitywne i wulgarne, bez cienia wzajemnego poszanowania i choćby odrobiny taktu, pełne jedynie instynktów, nie zaś głębszych uczuć, jakieś odrażające i odpychające.
Nas zastąpili dziś młodzi, tacy jak my wtedy, lecz żałość ogarniała człowieka, który poznał miłość prawdziwą i czuł ją nadal w sobie, patrząc na tę miernotę, doprowadzającą sferę uczuć do poziomu bruku, zadowalającą się zaspakajaniem lichych, upadłych potrzeb.
Lecz oni dobrze się z tym czuli i to przerażało najbardziej…
Nawet nie dane im było poznać choćby ułamka tego, co ja poznałem, poczuć tego, co od lat nieprzer-

wanie wypełniało moje serce, zrozumieć, że są rzeczy, które pojawiają się w życiu tylko ten jeden, jedyny raz i mogą zmienić je na zawsze. Wtedy wszystko inne traci większy sens, stając się jakimś mało istotnym kłębowiskiem ludzi, wydarzeń, gestów i słów, jedynie tłem, nie zaś pierwszym planem.
Rzeczywistość jest w nas, w tym, co przeżywamy wewnątrz, co tworzy bogaty świat naszych uczuć i doznań, a to, co nas otacza zewsząd, cały ten zgiełk życia, to pozostaje tylko jakimś przykrym, koniecznym dodatkiem, na który nie zawsze się godzimy, ale którego ominąć się niestety nie da. Jakbyśmy się nie obracali, zawsze będziemy mieć coś za plecami – to świat, nasza pułapka bez wyjścia – dobrze, aby za plecami pozostał.

Z mego okna patrzyłem często na jej dom, gdzie jesienną porą bezlistnych drzew widziałem zapalone światła. Nigdy tam już później nie wróciłem. Nic nie ciągnęło, wszystko odpychało.
Tylko to światło cofało mnie do czasów, kiedy… Wracała myśl, iż może kiedyś, znów, jakby nie istniała przeszłość, wszystko wróci…
I sposób, w jaki nawiedzała me sny – żywy, realny, plastyczny.
Tam mogłem się z nią spotykać co noc, odkąd odeszła stąd.
Budziłem się i w miarę upływu lat uczucie smutku i rozczarowania, że to tylko sen, zastępować poczęło uczucie pewnego narastającego spokoju, którego do końca nie rozumiałem, i odnalezienia się w nowych realiach, wszak nigdy się nie rozstaliśmy, bo nie ustała nasza miłość, wciąż mamy siebie, bo śmierć to nie przeszkoda ani granica – teraz nie dane nam jest tylko iść razem przez park.
Lecz miłość nie umiera, kiedy się naprawdę kochało!
Jeśli się czegoś bardzo pragnie, całym sercem i duszą, to w końcu przychodzi.
Bo ja kochałem…
I nic tego zmienić nie mogło – ani czas, ani ludzie, ani świat.

Pewnej niedzieli odkryłem ze zdziwieniem, że to już ponad dwadzieścia lat, odkąd nasza miłość przeniosła się w krainę ducha, odkąd ona żyła tylko we mnie, niewidzialna dla niedorzecznego świata.
To szmat czasu, kiedy to minęło?
To tysiące dni, tysiące nocy…
Wtedy zrozumiałem, że gdyby nie jej miłość, jej istnienie w mym sercu, nie dałbym rady przetrwać nawet kilku miesięcy, a tu miałem okres tak długi i niepojęty, że sam nie wiem, jak do tego doszło. Gdzie byłem przez te wszystkie lata, czym wypełniłem to całe morze czasu?
Dla mnie wydało się to krótką chwilą, jakby młodość była zaledwie wczoraj, kiedy szliśmy razem przez nasz park, radośni i ufnie patrzący w dni, które miały nadejść.

I gdy znów nadszedł listopad, ożyły wszystkie, najmniejsze nawet wspomnienia.
Jakże wtedy zapragnąłem dotknąć jej brązowych dłoni, pogładzić długie, jasne włosy, poczuć usta, których nigdy nie zapomniałem. Wziąć ją na kolana i czuć jej głowę na moim ramieniu, ciepły, spokojny oddech na mojej szyi, cichy jakże znajomy szept…

Coś się wówczas we mnie nagle odmieniło i pojąłem, że nic nie będzie już takie, jak dotąd.

Teraz pragnąłem jej, jak nigdy przedtem, jakby nigdy nie odeszła, żyjąc nadal w domu za parkiem, prawdziwa i realna, czekająca na mnie przez te wszystkie, dziwne lata.
Dotarło do mnie niezaprzeczenie, że zachodzi właśnie we mnie jakaś przedziwna, niespotykana przemiana, kończąca zdecydowanie poprzedni okres mego życia, zamykająca go na cztery spusty, wyrzucając klucz.
Bardzo wyraźna przemiana…

Już nie wystarczała mi jej obecność w mym sercu – to miejsce tylko jej przynależne i dla niej stworzone – teraz potrzebowałem czegoś więcej: ZNÓW JĄ ZOBACZYĆ, jak kiedyś, żywą i namacalną, usiąść z nią na którejś z ławek, tak dobrze nam znanych i dotknąć palcami jej ciepłych ust, za którymi tak desperacko tęskniłem.

Cały dzień myślałem tylko o niej, snując się po jesiennym parku, wypatrując jej wśród cichych, uśpionych alejek, wśród bezlistnych, kołyszących się na wietrze drzew.
Tak bardzo chciałem ją znów mieć przy sobie, tak rozpaczliwie…
Nostalgicznie szumiał mi nasz park, szepcząc do ucha listopadem takim, jak poprzednie, lecz dla mnie już teraz innym, pełnym oczekiwania i nadziei, nie zaś spokojnego pogodzenia się z losem.

Bo ja kochałem!
Każdą częścią mego ciała i serca!
Z dnia na dzień coraz mocniej, coraz goręcej!
Czyż można było kochać bardziej, niż przez te wszystkie lata?
Tak.

Teraz to odkryłem – zawsze można kochać jeszcze bardziej, bo miłość nie zna granic!
Poczułem, że ogień uczucia rozgorzał we mnie, jak nigdy dotąd, poderwał mnie nieoczekiwanie, z zaskoczenia do nowego życia, rozpalił gwałtowną, potężną potrzebę, przymus, pragnienie, by marzenia stały się ciałem, by spełniło się wnet me rozpaczliwe wołanie o nią.
Do mej świadomości dotarło wyraźnie, że nie może być inaczej, że zwariuję bez niej i dalej żyć tak nie dam rady, już ani tygodnia, ani miesiąca dłużej, bo w środku wszystko we mnie wyło i dziko skowyczało za nią, rozrywało duszę na strzępy niewysłowionym cierpieniem.

Spotkanie z nią stało się moją obsesją.

Krążyłem za dnia i nocą jak upiór po naszym parku, czekając i wierząc.
I nic wówczas nie byłoby w stanie stłumić mego pragnienia, zagłuszyć jęku mego serca.
I tęskniłem za nią, jak nigdy w życiu, gdy jesienne liście opadały z drzew.
Moje okno stało się dla mnie oknem na świat, w którym czekałem na jej przyjście.
Te dni, te tygodnie, trzymały mnie w wiecznym pogotowiu, że może zaraz, za chwilę…
Żyłem napięty jak struna, czujny i przygotowany.
Stałem się wyczulony na najmniejszy szmer, najdelikatniejszy ruch i najsubtelniejszą zmianę w otoczeniu, które uważnie, z najwyższym skupieniem obserwowałem, nie odczuwając zmęczenia ni głodu, gdyż nie to mnie teraz obchodziło. Czułem, że już blisko, że nie potrwa to już długo. Nie wątpiłem w to wcale. Jak mógłbym? Coś krążyło już w eterze, wokół mnie, wokół moich myśli i mej desperacji. Już było prawie kształtem…
Czyż zwycięstwo nie polega na tym, by iść od porażki do porażki, nie tracąc entuzjazmu?

Gdy pewnej niedzieli stałem w oknie obserwując zimowy, przykryty białym kocem śniegu park, zadzwonił telefon.
Podniosłem słuchawkę, lecz nikt się nie odezwał, tylko dziwny szmer usłyszałem po tamtej stronie…
Może przerwano połączenie?
Może żart?
Po chwili telefon znów zadzwonił i znów odpowiedział mi jedynie ten sam szmer…
Wyglądało na to, jakby ktoś dzwonił z dworu lub z bardzo daleka.

Dziwne, a może popsuł się mój telefon?
Czyżby jakaś awaria gdzieś „wyżej”?
Dotąd wszystko działało bez zarzutu.
Nagle odkryłem, że drżą mi ręce…
Nagle trzeci raz usłyszałem dzwonek i chwyciwszy słuchawkę, krzyknąłem zdenerwowany dziwaczną sytuacją.
Wtedy usłyszałem TO…
Ktoś wśród szmeru i chrzęstów nucił znaną mi melodię, bardzo znaną.
Jej ulubioną…
Wtedy rozpoznałem JEJ GŁOS.
- Gdzie jesteś?! Ty żyjesz!!! – zawołałem oszołomiony i szczęśliwy. – Gdzie cię szukać?!
Odpowiedział mi ponownie tylko szmer…
Bezduszny i doprowadzający do szału.
Wybiegłem z domu i ruszyłem zdecydowanym krokiem w park, w alejki, w drzewa, w śnieg.
Szukałem jej śladu, choćby najmniejszego, chaotycznie biegałem jak ostatni szaleniec wśród znanych mi miejsc, w nadziei, że natrafię w końcu na coś, jednak tak się nie stało.
Potem wróciłem do siebie, lecz nie smutny, nie zawiedziony…
Czułem bowiem, że to, na co tak długo skazywał mnie nieprzenikniony los – oczekiwanie i cierpienie – teraz lada moment zamieni się w spełnienie i zadośćuczynienie.

Upewniła mnie kolejna niedziela…

Znów usłyszałem głos tak mi znajomy, tak sercu bliski.
W słuchawce telefonu ta sama melodia…
Ten sam, uwielbiony ponad wszystko śpiew.
To się naprawdę działo, w moim smutnym, samotnym domu.
Jednak się nie pomyliłem – Zuzia żyła i teraz śpiewała mi piosenkę sprzed lat, kiedy byliśmy tacy młodzi, tacy szczęśliwi!
- Jak cię znajdę, powiedz, bo nie zniosę już ani dnia dłużej! – zawyłem do słuchawki, lecz jej już tam nie było – tylko szmer, tylko chrzęst jakiś…
Coś szeptało mi do ucha, że to tylko początek, że niebawem przyjdzie mi ją spotkać.
Ta pewność była tak silna, tak kategoryczna, iż nie miałem już żadnych wątpliwości – teraz będę czekał cierpliwie, a czas sam przyniesie odpowiedź.

I czekałem…

I którejś niedzieli, zamiast znanej piosenki, usłyszałem słowa Zuzi:
- Przyjdź do parku… - usłyszałem wśród szmerów wyraźnie jej głos.
- Ale kiedy, powiedz?!
- Zaraz…
Natychmiast, bez namysłu zarzuciłem na siebie kurtkę i wybiegłem.
Na dworze szalała burza śnieżna i porywisty, huraganowy wiatr.
Powoli robiła się szarówka…
Wszedłem między alejki i w mrokach nocy wypatrywałem.
Byłem sam…
Z trudem utrzymywałem się na nogach – wiało jak w piekle.
Wtedy gwałtowny podmuch wichru nieoczekiwanie odłamał potężny konar drzewa, który spadając ude-

rzył mnie w głowę.

Wtedy przyszła ona.

Była tak piękna i młoda, jak wtedy, kiedy ją ostatnio widziałem fatalnego dnia.
Nic się nie zmieniła, tylko ja wyglądałem teraz przy niej jak starzec…
Wzięła mnie za rękę i wówczas zrozumiałem, że już nigdy się nie rozstaniemy.

29 października 2012

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 06.11.2012 08:25

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.